



15 stycznia mam urodziny. Pamiętam, że podczas francuskiego tournée z *Lajkonikiem* graliśmy akurat tego dnia w Grenoble. Z tej okazji dostałem w prezencie od zespołu piętnaście różnokolorowych motków wełny, a od dyrektor Serafinowicz dodatkowo książkę Christophera Franka *Noc amerykańska*. W Paryżu, w którym byliśmy bodaj dwa tygodnie, zwiedzałem dzielnicę lacińską z tą właśnie książką w ręku. Czułem się wspaniale. Teresa Gąsiorowska zrobiła mi na drutach z tych piętnastu kolorów piękny sweter. Bożena Tychanicz znalazła w Paryżu swojego zagubionego przez komunę ojca. Ogromna radość, a jednocześnie wielkie zdziwienie malowały się na jej twarzy. Ojciec miał bowiem drugą żonę, która była podobna do mamy Bożenki jak dwie krople wody. Niesłychane.

Bywały także sympatyczne wyjazdy do demoludów, przede wszystkim do Czechosłowacji. Z Czechami i Słowakami mieliśmy bardzo bliskie kontakty, ponieważ wymienialiśmy się realizatorami. Wspólnym przedsięwzięciem artystycznym był tryptyk o Janosiku. Słowacy przygotowywali wersję autorstwa Karola Brožka i Josefa Mokoša, Czesi Jiříego Dvořáka i my Krystyny Milobędzkiej. W miejscowości Chrudim przez miesiąc pracowaliśmy na

specjalnym obozie przygotowawczym do samej premiery. Tam też podjąłem wiekopomną decyzję, że rzucam palenie. I bardzo dobrze zrobiłem, bo picie wina czy piwa w Czechach to normalka. W efekcie raniutko Krzys był jak skowronek, a koledzy z wielką głową błagali o ciszę i lyczek piwa, bo podobno „piwo z rana jak śmietana”. Po premierze rozjechaliśmy się i każdy z teatrów już na własnym podwórku prezentował tryptyk w swoim wyłącznym języku. To był ciekawy eksperyment twórczy. Z Teatrem Radosz z Brna na Morawach łączyła nas wymiana artystyczna między obydwojmi. Polubiliśmy się bardzo. W Brnie i w Poznaniu bankiety trwały do białego rana.

Do Meksyku poleciliśmy raz jeszcze na tydzień, w ramach dużego tournée *Tygryska* po Ameryce Północnej. W Mexico City dla stacji telewizyjnej zagraliśmy jeden spektakl po hiszpańsku dla reżysera i operatorów, a drugi już rejestrowany z udziałem publiczności. Tournée zaczęliśmy od USA, grając oczywiście w amerykańskiej odmianie języka angielskiego. Naszym agentem była pani Goik z Nowego Jorku, Polka żydowskiego pochodzenia. Wtedy głównym impresariem polskich zespołów w Stanach był słynny Jan Wojewódka, muzyk, który podczas II wojny światowej założył zespół *Wesoła Czwórka* występujący dla polskich żołnierzy na obczyźnie. Opanował w USA prawie cały rynek i był niemal monopolistą, jeśli chodzi o polskie występy. Nie mógł przeżyć tego, że bez jego wiedzy przyjechał z Polski do USA teatr dla dzieci. Kiedy nas odwiedził, zapytał: „Ile mikrofonów potrzebujecie do występu?”. Bo trzeba wiedzieć, że polscy artyści estradowi, których sprowadzał do USA, występowali najczęściej przed mikrofonami pamiętającymi jeszcze II wojnę. Tak samo stara była aparatura elektroakustyczna, którą dysponował. Wszystko po to, by było jak najtaniej.

A myśmy przecież w teatrze występowali bez żadnych mikrofonów, natomiast muzyka nagrana do przedstawienia szła z głośników. „To musi być tanio, jak bez mikrofonów – nie ustawał nas molestować pan Wojewódka. – Wchodzę w to”. Nie wszedł nigdy.

W Kanadzie na nasze przedstawienie w Ottawie przyszedł ambasador, aby nas przywitać. A gdy zagraliśmy w Toronto, wysłał do nas swego podwładnego, chyba konsula, który powiedział: „Pan ambasador przysłał wam szynkę i życzy najlepszemu dalszemu pobytu w Kanadzie”. Ot zachował się z „klasą”. Inaczej było w Meksyku. Tam ambasador Józef Klasa zachował się – jak przystało na nazwisko – z prawdziwą klasą, zapraszając zespół „Marcinka” na superbankiet na terenie ambasady, przy ulicy Cracovia 40. Podczas tej imprezy zasłynął niekonwencjonalnym zachowaniem Andrzej Goćwiński, dyrektor wydziału kultury w Poznaniu, który towarzyszył nam w tym wyjeździe. Było bardzo ciepło, jak to w Meksyku, a tu niemal co krok stał lekko opalony kelner w białych rękawiczkach, trzymając tacę pełną kieliszków z zimnym szampanem na powitanie. Niestety bywa tak, że jak się trafia w inny świat, gdzie inaczej się człowiek odżywia, to nawet po dwóch kieliszkach szampana można wpaść w tarapaty. Andrzej zaczął chodzić zamaszystym krokiem i powtarzał w kółko: „Duszno i porno, porno i duszno jest w tym Meksyku” i „Figo fago kawa marago”. W jeden wieczór poznaliśmy innego dyrektora, normalnego faceta, który lubił sobie pożartować i się zabawić. Kiedy później przychodziłem do wydziału kultury, zawsze mówiłem do Andrzeja: „Musisz tę sprawę dla teatru pozytywnie załatwić, bo wiesz... będzie porno i duszno”. Wspomniany Józef Klasa od lat pracował w dyplomacji, był konsulem w Lille, a potem kolejno ambasadorem na Kubie, w Meksyku i w Maroku, a po roku 1990 został jednym z prezesów w firmie Jana

Kulczyka w Warszawie. Miałem przyjemność spotkać się z nim po raz wtóry, kiedy potrzebowałem funduszy na widowisko z cyklu „Dziecko potrafi” i kiedy jako dyrektor artystyczny Estrady Poznańskiej szukałem sponsorów.

Inną szczególną sytuację towarzyską mieliśmy w Londynie po przedstawieniu *Don Kichota*, które graliśmy w Królewskim Teatrze na Sloane Square, dwa przystanki metrem od Westminsteru, o rzut kamieniem w granicach rekordu świata od Hyde Parku. Dyrektorem Ośrodka Kultury Polskiej w Londynie był wówczas znakomity poeta i dramatopisarz Ernest Bryll, autor m.in. *Rzeczy listopadowej*. Wielu z nas pamięta jego wstrząsającą i wzruszającą *Kolędę-Nockę* z 1980 roku i słowa jednego z songów: „*Za czym kolejka ta stoi / po szarość, po szarość, po szarość*”. Bryll urządził bankiet po przedstawieniu, na który zaproszono nasz zespół. Nim po spektaklu kostiumowym, niezwykle męczącym fizycznie, zdążyliśmy się umyć i przebrać, zastaliśmy w sali bankietowej już tylko dwóch pracowników i kierowcę ośrodka, którzy sprząтали po imprezie. Kanapki, krakersy i inne drobiazgi zjedzone, wódka i piwo wypite. Zapytałem, czy nie mają jeszcze gorzały, bo chcielibyśmy przepłukać gardła po sztuce. „Nie ma! Nic już nie ma!” – usłyszałem. „A był na spotkaniu pan Bryll?” – zapytałem jeszcze. „Nie!” – odparli i zaczęli wynosić to, czego już nie było. Pomogłem im z ochotą. Zabrałem karton piwa Heineken i karton wódki Wyborowa i zaniósłem do naszego autokaru. Protest sprzątających po bankiecie nie zrobił już na nas żadnego wrażenia.

Za granicą „Marcinek” prezentował w sumie osiem przedstawień: opery lalkowe z muzyką Jerzego Kurczewskiego *O Kasi, co gąską zgubiła* i *Lajkonik*; musicale *Tygrzysek* i *Hefajstos*, a ponadto *Siala baba mak* i *Ptam* autorstwa Krystyny Miłobędzkiej oraz *Noc wigilijną* Mikołaja Gogola i *Don Kichota* Miguela de Cervantesa.

Bez wątplenia *Don Kichot* okazał się największym eksportowym hitem „Marcinka”. W 1985 roku, kiedy już nie było mnie w teatrze, nadeszło zaproszenie dla tego przedstawienia aż z Japonii. Niektórzy występujący w nim aktorzy uważali, że nie powinienem z nimi jechać, skoro nie jestem już w teatrze. „Weźmy kogoś innego z zespołu, kto nauczy się tej roli”. „No to trzeba by o to reżysera zapytać” – zauważył ktoś przytomnie – czyli Josefa Kroftę. I zapytano, a ten odpowiedział: „Nie liczcie na to, że ja przyjadę uczyć roli kogoś innego. Albo wystąpi Deszczyński, albo nikt”. Pojawilo się też pytanie, czy grać *Don Kichota* po angielsku, czy po japońsku. Dyskusję uciąłem, oświadczając, żeby wybito sobie z głowy ten pomysł. Zgraliśmy po polsku, a tekst japoński pojawiał się na ekranie z rzutnika. W Japonii zobaczyłem pierwsze na świecie DVD. Wtedy było jeszcze wielkości czarnej płyty analogowej z odpowiednio dużym odtwarzaczem. Zaproszono nas do sali i puszczono z tego DVD koncert symfoniczny na dużym ekranie, z fenomenalnym dźwiękiem i obrazem. Minęło kilka lat i dziwiło mnie, że w Europie nie ma jeszcze takiego sprzętu. Dowiedziałem się wtedy, że koncerty amerykańskie doszły do wniosku, iż nie sprzedają jeszcze takiej ilości taśm VHS, żeby to się opłacało, więc postanowiły wstrzymać produkcję DVD. Pracowano za to nad udoskonaleniem i miniaturyzacją krążka, aż uzyskano taki efekt, jaki mamy teraz.


W hotelu Crown, w dziewięciomilionowej aglomeracji Nagoi, mieszkałem ze Staszkiem Słomką. Pokoik był malutki, telewizor zawieszony pod sufitem, a łazienka cała z plastiku, wraz z wanną, umywalką i sedesem. Wypluta jako jedna całość z jakiejś maszyny, która ją wyprodukowała. Nie mogłem wyjść ze zdumienia. Staszka zawsze bardzo ceniłem, był to mój bardzo serdeczny kolega. Razem z Marzeną Trybałą świadkowałem na moim ślubie. Bardzo długo mieszkał w hotelu Zacisze. Co prawda krócej ode mnie, ale często

wspólnie urządzaliśmy bankiety. Staszek dobrze gotował. Poza tym miał świra na punkcie dobrej herbaty. W tak zwanym początkowym okresie pracy w teatrze, jeszcze przed egzaminem aktorskim, tworzyliśmy ze Staszkiem niezwykle interesujące przedstawienia, m.in. *Karaluchy* dziewięcioletniego Stanisława Ignacego Witkiewicza z cyklu „Juwenilia”. Krzysztof Miklaszewski na lamach „Życia Literackiego” z dnia 5 lipca 1970 roku napisał recenzję z pobytu w Poznaniu pod tytułem *Hamlet i młody Witkacy w Poznaniu*. *Hamleta* wystawił Teatr Polski, a młodego Witkacego „Marcinek”, „który wziął na warsztat trzy dziecięce miniatury Witkacego: *Odważną księżniczkę*, *Biednego chłopca* i *Karaluchy*. Witkacowskie *Juwenilia* zrealizowała grupa młodych ludzi (Iwona Kotzur, Małgorzata Kowalska, Wanda Łobodzińska, Krzysztof Deszczyński, Tomasz Jaworski, Stanisław Słomka-Rakowski, Leszek Zieliński, Alojzy Zwierzyński), którzy – jak dowiodła poprzednia inscenizacja *Mątwy* i *Szalonej lokomotywy* – doskonale czują tę poetykę teatru. Dziecinne próbki wyraźnie zapowiadające typ abstrakcyjnego dowcipu przyszłego kabaretu metafizycznego i programowe zmieszanie komicznego tragizmu z tragicznym humorem – odczytano przez pryzmat dojrzałych dokonań autora *Tumora Mózgowicza*”. Z kolei w 1972 roku pokazaliśmy *Zwierzęta hrabiego Cagliostro* Andrzeja Bursy na VII Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Małych Form w Szczecinie. To było superprzedstawienie. Dostaliśmy wyróżnienie od jury, pisano też o nas w gazetach. W miesięczniku „Teatr”, w numerze majowym z 1972 roku, Bożena Frankowska odnotowała: „Wśród dwudziestu przedstawień z dziewięciu miast nie było ani jednego, o którym można by powiedzieć, że otwierało jakieś drogi w sztuce. Istotnie świeże i emocjonujące okazały się trzy przedstawienia: *Zwierzęta hrabiego Cagliostro* według Andrzeja Bursy w wykonaniu aktorów Lalkowego Teatru „Marcinek” z Poznania (Krzysztof Deszczyński, Andrzej

Marciniak, Stanisław Słomka-Rakowski, Alojzy Zwierzyński), *Dancing* Tadeusza Peipera w reżyserii i wykonaniu Lecha Gwita z Teatru Peipera w Toruniu oraz *A jak królem, a jak katem będziesz* według Tadeusza Nowaka w wykonaniu Kazimierza Borowca z Lublina. Pierwsze – drwiące, zawrotne w tempie, połączyło tekst Bursy z filmowym przekazem i akcentami teatru lalkowego (jak mur z sześcianów w funkcji dramaturgicznej, pełniący tu także rolę ekranu i parawanu, projekcja przypominająca animowany film rysunkowy), pointując całość krzykliwie (niepotrzebnie!) wyrecytowanym tekstem, w którym drwina wobec historii zabrzmiała żywym podtekstem filozoficznym i celną aktualną aluzją”.

W wolnych chwilach chodziliśmy po Nagoi i zaglądaliśmy do tak zwanych hal, czyli krótko mówiąc, marketów spożywczych. Marzy mi się w Poznaniu taka hala, gdzie są świeże warzywa, owoce, ryby, mięso, gdzie przy okazji można coś zjeść, kupić świeże pieczywo, spróbować czegoś nowego. Świat zachodni ma tych hal setki. Japonia również. Poznań nie. Któregoś dnia poszliśmy sobie posmakować japońskiego żarcia. Kosztowaliśmy tego i tamtego, a wszystko było dla oka ohydne, a dla podniebienia ekstra. Jakieś robale, liście, i tak szczęśliwi oddaliliśmy się od hotelu coraz bardziej. W pewnym momencie Staszek mówi: „Krzysztof, jakbyś widział gdzieś WC, to mi mów”. „Co jest?” „Japońskie robale domagają się wyjścia”. Współczulem mu bardzo, bo już nieraz przechodziłem coś podobnego. A tu nic. Cicho wszędzie, glucho wszędzie. Aż wpadliśmy do jakiejś restauracji, prawdopodobnie w ostatniej sekundzie. Staszek był uratowany.

Ostatniego dnia zostaliśmy zaproszeni na bankiet przez organizatorów festiwalu, a była to wielka firma Mitsubishi. Siedzieliśmy wszyscy w kucki i delektowaliśmy



się potrawą o nazwie sukiyaki. Jest ona bardzo popularna i przyrządzana z cienko pokrojonej wołowiny, warzyw i tofu oraz surowego jajka. Nasze sukiyaki było przygotowane nie jako zupa, lecz jako danie z grilla. Na podgrzewane, gorące kamienie kładliśmy pałeczkami wołowinę i warzywa, i kiedy były już bardzo gorące, wrzucaliśmy je do miseczki z rozbełtanym jajkiem, które się ścinało. Pamiętam, że mi smakowało. Kupilem sobie nawet zestaw porcelany japońskiej do sukiyaki przeznaczonej dla pięciu osób, a nie jak u nas dla sześciu czy dwunastu, i przywiozłem do Poznania. Radości z zakupu jeszcze nie miałem, bo nigdy nie zrobiłem w domu potrawy sukiyaki. Oczywiście podczas bankietu piliśmy zdrowie naszego teatru i firmy Mitsubishi ciepłym sake. Sake ponieważ Japończyków dlatego, że jest ciepłe, a nie dlatego, że ma dużo procent, bo ma ich tylko dwadzieścia pięć. Największym rozczarowaniem dla niektórych kolegów z zespołu okazał się fakt, że wszelkie japońskie sprzęty audio i foto były tak drogie, że szok. A jak wyglądają japońskie restauracje średniej klasy? W zasadzie nie ma papierowego menu, są z plastiku na talerzu poukładane konkretne dania, które wyglądają jak prawdziwe. Wskazujesz kelnerowi, co chcesz, i to dostajesz.

